

Nigdy bym nie pomyślał, że los rzuci mnie pewnego dnia do Polski. W pewnym sensie można powiedzieć, że wszystko zaczęło się na ziemi włoskiej, a ściślej mówiąc: dzięki pewnej przykrej przygodzie we Florencji.

Kiedy zacząłem studiować w Berlinie, od razu też zapisałem się na kurs włoskiego. Zdobycie Berlina wydawało się mnie, wuppertalczykowi, całkiem sporym osiągnięciem – no ale przecież należało podbijać nowe, bardziej egzotyczne tereny. To mogły być już tylko Włochy, najpiękniejszy kraj na świecie.

Przez cały rok pilnie chodziłem na kurs włoskiego. Moja nauczycielka, mała Elisabetta z Genui, która wyszła za melancholijnego berlińskiego filozofa, niezwykle cieszyła się z mojego entuzjazmu.

– Jesteś taki otwarty, Stefano. Od razu widać, że pochodzisz z prowincji. Ktoś taki jak ty musi zamieszkać we Włoszech. Wspaniale się tam odnajdziesz!

Uwierzyłem jej i pojechałem do Florencji. Tam na miejscu stwierdziłem jednak ze smutkiem, że Włosi są wprawdzie bardzo otwarci i mili – niemniej jednak aż za bardzo jak na mój gust. Odczułem to wyraźnie podczas koncertu w sławnej florenckiej katedrze Il Duomo. Grano wielką mszę Gioacchina Rossiniego, więc siedziałem i słuchałem

w zamyśleniu. Obok mnie siedział dobrze wychowany student filozofii, z którym zamieniłem parę słów przed koncertem. Gdy ostatnie dźwięki delikatnie wybrzmiły, a ja rozmyślałem o schyłku ludzkiej egzystencji, wokół mnie zerwał się orkan. Ludzie krzyczeli jak kibice na stadionie piłkarskim:

– *Bravi, bravi! Da capo!*

Wszyscy zebrani w świątyni Włosi rozszaleli się na dobre. Ale najgorsze było to, że nawet mój kolega zerwał się z ławki.

– *Da capo!* – wołał w uniesieniu, za nic mając filozoficzną erudycję. Zdałem sobie w tym momencie sprawę, że nawet ekstrawertyczny wuppertalski charakter nie ma się co równać z temperamentem włoskiego studenta filozofii. Nie, w tym kraju nie czekała mnie przyszłość. Już następnego dnia chciałem pojechać stopem do Niemiec.

*

Najpierw jednak musiałem wrócić na camping, położony na obrzeżach Florencji. By w tej ciężkiej dobie mojego życia nie siedzieć sam jak palec – było nie było, zmarnowałem cały rok na uczenie się niewłaściwego języka – podszedłem do ogniska, przy którym siedziała Niemka i jej amerykański chłopak. Dziewczyna miała na imię Sabine i pochodziła z Hamburga. Podczas gdy jej facet irytował mnie rozmową o Hemingwayu i *Komu bije dzwon*, ona wpatrywała się we mnie natarczywie.

– Coś nie tak? – zapytałem po chwili.

– Jesteś bardzo podobny do kogoś, kogo znam.

Właśnie wydłubywaliśmy mielonkę z puszki, gdy Sabine złapała się nagle za czoło.

– Wiem! Przypominasz mi byłego chłopaka mojej siostry. Och, ależ to był dupek!

Postawiłem puszkę na ziemi, pożegnałem się z obojgiem i postanowiłem zaszyć się w swoim namiocie. Po drodze minąłem grupę młodych ludzi, którzy również siedzieli przy płonącym ognisku. Niektórzy z nich piekli kielbaski, inni śpiewali, ktoś przygrywał na gitarze. Nie zachowywali się ani jak Niemcy, ani jak Włosi. Kierując się impulsem, przysiadłem się do nich, w nadziei że tym razem już nikt mnie nie zagadnie. Jakiś czas wszystko było jak należy. Nie rozumiałem ani jednego słowa z ich języka, nie miałem nawet pojęcia, czy to był język skandynawski, czy raczej słowiański. Tylko jedno jedyne słowo wydawało mi się znajome: „Tak”. Podczas gdy próbowałem rozszyfrować, co to znaczy, dostrzegła mnie jedna z dziewczyn, bardzo atrakcyjna blondynka.

– *Do you want a sausage?*

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Kielbaskę – ktoś chce dać zupełnie obcemu człowiekowi kielbaskę? Moja rodaczka Sabine nigdy w życiu by się na to nie zdobyła.

– *Yes...*

Wręczyła mi świeżo upieczoną kielbasę, po czym ja, zebrawszy się na odwagę, jaka mi jeszcze pozostała, zapytałem ją, skąd pochodzi.

– *From Cracow, Poland.*

Byli to studenci historii sztuki.

– *I see, Poland.* – Po raz pierwszy tego wieczora na mojej twarzy zagościł uśmiech. – *Can you tell me, what means „tak”?*

Zanim jednak moja nowa znajoma zdążyła odpowiedzieć, złapał ją wpół student w okularach.

– *It means „yes”.* – Wyciągnął do mnie rękę. – *Hi, I'm Grzegorz. Can you say: „W Szczepreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie?”.*

– *Pardon? We Szczebrze... Can you repeat it?*

Jeśli ten gość chciał ze mnie zakpić, to mu się nawet udało. Dziewczyna parsknęła śmiechem i spojrzała na mnie wyczekująco.

Dziś wiem, że ten młody człowiek wcale nie miał zamiaru się ze mnie wyśmiewać. Zacytował mi jedynie najbardziej znany polski łamaniec językowy, który każdy cudzoziemiec musi powtórzyć najpóźniej po dwuminutowej znajomości z Polakiem.

Niestety owej nocy jeszcze tego nie wiedziałem. Przez minutę jąkałem się i przyciągnąłem tym uwagę pozostałych studentów, że nawet umilkły śpiewy. Przez moment poczułem się tak okropnie jak z Sabine i jej Amerykaninem. Ale potem spojrzałem na otaczające mnie twarze i zauważyłem, że się pomyliłem. Ci Polacy wcale się ze mnie nie wyśmiewali – cieszyli się tylko z tego, że ktoś tak kaleczy ich piekielnie trudny język. Gdy za siedemnastym podejściem osiągnąłem w końcu jako tako prawidłową wymowę, dostałem gromkie brawa i całusa od tej blondynki.

Niestety nigdy już nie spotkałem tych studentów, nawet wtedy, gdy przez osiem miesięcy mieszkałem w Krakowie. Szkoda. Chciałbym im podziękować za pierwszą lekcję polskiej gościnności i – przy okazji – bezbłędnie wyrecytować szczebreszynowy łamaniec. Nauczyłem się bowiem na pamięć nie tylko pierwszych dwóch wersów, które zna każdy Polak, lecz całe dziesięć strof. Biada temu Polakowi, który mnie dziś niewinnie poprosi: „Powtórz proszę, w Szczebreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie...”. Niech spada na trzcinę i tam sobie brzmi.

*

Po wpadce z Florencją nasza mnie obawa, że do końca swoich dni będę mieszkał w Berlinie. Bo co jeszcze mogło czekać kogoś, kto bez złudzeń powrócił z Włoch?

Dopiero cały rok później, w październiku 1992, sprawa sama się rozwiązała. Jeszcze rano, gdy jechałem na uniwersytet rowerem, nie miałem pojęcia, co mnie czeka. Poszedłem na jakieś seminarium filozoficzne, a potem udałem się na obiad do stołówki, na którą w Niemczech mówi się mensa.

Z mensy wybiegłem jak zwykle po zaledwie ośmiu minutach jedzenia – no bo niestety jem zawsze szybko i jakby mnie ktoś gonił. By ukoić zestresowany żołądek, przeglądałem w holu anonse na tablicy ogłoszeń. „Zamienię chomika na kanarka”, „Kursy samopoznania dla mężczyzn na Kubie, przelot gratis” – nic szczególnego.

I nagle olśnienie. Ujrzałem go, afisz mojego życia, niepozorny wydruk komputerowy.

„Dwutygodniowy kurs polskiego w Krakowie, cena 600 DM”.

Kraków? Od razu myślałem o sympatycznej studenckiej grupie historyków sztuki oraz o chrząszczu ze Szczebreszyna. Czy ten Kraków to daleko od Berlina? No i ta atrakcyjna cena: tylko sześćset marek za dwa tygodnie (dopiero na miejscu okazało się, że niestety bez wyżywienia).

Długo nie myślałem i postanowiłem ten kurs wypróbować. Pojechać i przez dwa tygodnie wybadać sprawę, zanim zainwestuję w to dużo czasu i pieniędzy. Byłe, na miłość boską, nie popełnić jeszcze raz tego błędu, co w przypadku Włoch: najpierw kurs, potem wyjazd.

Z Polską wszystko było na odwrót: popularne stereotypy o tym kraju nie wróżyły nic dobrego, więc tym razem wszystko powinno pójść jak z płatka.



Tablica informacyjna obok stoły na Wolnym Uniwersytecie.
Tu rozpoczęła się moja przygoda z Polską.

Kolejnym krokiem było powiadomienie rodziny i przyjaciół o zamiarach. Okazało się to najtrudniejszą częścią tego przedsięwzięcia.

- Zgadnijcie, dokąd jadę: do Krakowa!
- Do Uralu?
- Co cię tam ciągnie?
- A dlaczego nie nauczysz się jakiegoś rozsądnego języka, na przykład hiszpańskiego?

Ale właśnie takie reakcje jeszcze bardziej umocniły mnie w postanowieniu. Wywołały przekorę – jedną, dziś już to wiem, z nad wyraz polskich cech, którą jako fan klasyki również posiadałem w nadmiarze.

*

W marcu 1993 roku wsiadłem do pociągu na stacji Berlin-Lichtenberg. Od razu spodobały mi się stare polskie wagony. W odróżnieniu od naszych nieludzkich superszybkich pociągów można było w nich jeszcze otworzyć okna oraz zaciągnąć prawdziwe zasłony. W poszukiwaniu jakiegoś polskiego słowa rozglądałem się po przedziale. Nad drzwiami znalazłem następujący napis: „Hamulec bezpieczeństwa”. Jakiś młody współpasażer pomagał mi cierpliwie w nauce wymowy tego słowa. Za setnym razem dałem wreszcie radę. Zaletą tego treningu językowego okazało się to, że podróż zleciała bardzo szybko, minęliśmy Cottbus, Wrocław, Katowice i już byliśmy na krakowskim Dworcu Głównym.

Wyszedłem przed dworzec i się rozejrzałem. Wzdłuż ulicy ciągnęły się wspaniałe, jakkolwiek nieco zaniedbane średniowieczne kamienice. Widocznie słynnym na całym świecie polskim konserwatorom nie było dane we własnym kraju wykonywać swojego zawodu.



Tajemnicza feministyczna kompozytorka Ludwiga van Beethovena. Podobne plakaty do dzisiaj mieszają w głowach zagranicznym turystom w Polsce.

Żeby dojść do szkoły językowej, musiałem przejść całą starówkę. Mijając Bramę Floriańską, gdzie malarze obwieszają mury swoimi malowidłami, ciągnąłem swoją walizczkę na kółkach, gdy nagle rzucił mi się w oczy rozciągnięty w poprzek ulicy pokaźny baner. Widniały na nim słowa, którym się przez dłuższy czas przyglądałem: „Festiwal muzyczny, IX symfonia Ludwiga van Beethovena”.

Miły akcent powitalny dla fana klasyki, ale nie do końca zrozumiałem, co tu było grane. Najwyraźniej chodziło tu o reklamę jakiegoś festiwalu muzycznego. Ale cóż za inwencja, cóż za szalona fantazja! Widocznie jakaś sprytna kompozytorka z naszych czasów wymyśliła sobie pseudonim „Ludwiga van Beethovena”, by pokazać wszystkim męskim szowinistom, że również kobiety potrafią komponować. Oryginalna parodia, pomyślałem: wystarczy dostawić „a” na końcu nazwiska, tak jak to mają Włoszki (Gina Lollobrigida) – i kobieta gotowa. Na pewno to był festiwal feministyczny!

Niecałe pięćdziesiąt metrów dalej skończyły się kamienice i odsłoniły ogromny rynek. Najpierw dziwiłem się, że gotycki kościół z lewej strony ma dwie różne wieże, tak jakby architekci nie mogli się dogadać. Potem dojrzałem w środku placu strzelisty pomnik, na którym siedziało mnóstwo gołębi. Na cokole stała nadnaturalnej wielkości postać z brązu i spoglądała w dal. Jej włosy cechował nieład geniusza – po prostu wykapany romantyk. Nie miałem żadnych wątpliwości – to był Chopin.

Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem jednak zupełnie inny napis:

ADAMOWI MICKIEWICZOWI
NARÓD

Któż, u diabła, był ten Adamowi Mickiewiczowi Naród? Zagadnąłem młodego Amerykanina, który siedział pod pomnikiem i wnikliwie studiował przewodnik *Let's go Eastern Europe*. Na pytanie: „*Who the hell...*” zaczął intensywnie kartkować książeczkę.

– *Wait a minute... Adam Michnik... wait... Adam Mickiewicz, Polish national poet, 1798–1855... wait... No, I can't find him. There's definitely no guy named Adamowi Mickiewiczowi Naród. Sorry!*

Zdziwiło nas to podobieństwo nazwisk. Być może był to pomnik kuzyna poety, który ożenił się z jakąś kobietą o nazwisku „naród”, a odtąd nosił podwójne nazwisko Mickiewiczowi Naród? W końcu doszliśmy do wniosku, że musi tu chodzić o jakiegoś zasłużonego burmistrza Krakowa z XIX wieku.

Dopiero dwa dni później ktoś wyjaśnił mi, co tak naprawdę zaszło na krakowskiej starówce. Złapałem się w jedną z najbardziej wyrafinowanych pułapek polskiego języka. W polskim bowiem, w przeciwieństwie do niemieckiego, angielskiego czy włoskiego, odmienia się wszystko w siedmiu przypadkach, nawet nazwy własne.

Również festiwal muzyczny nie miał nic wspólnego z feminizmem. Zapowiadano najsłynniejszą symfonię Beethovena, której mój tata tak bardzo nie lubił, posługując się jednakże dopełniaczem.

Te gramatyczne rewelacje na moment mnie zirytowały – by wpędzić zaraz w wielki zachwyt. Na krakowskim rynku dozgonnie zakochałem się w języku polskim, w którym wszystko, ale to wszystko do bólu się odmienia. W dopełniaczu wszystkie męskie imiona otrzymują końcówkę „a”. W celowniku zamiast „a” jest „owi”. Szaleństwo! Moim ulubionym przypadkiem do dziś pozostał celownik. Jakie-

goż niewiarygodnego przeobrażenia dostępuje w tym języku moje zaledwie czterosylabowe imię i nazwisko. „Podaję rękę SteffenOWI MöllerOWI” – cóż za nobilitacja! Pierwszą pocztówkę z Krakowa, którą wysłałem do matki, zaadresowałem więc „Sigrunowi Möllerowi”. Moja mama do dzisiaj się nie dowiedziała, że „owi” dodaje się tylko w przypadku mężczyzn.

*

Na kursie trafiłem na czwórkę fantastycznych nauczycieli. Każdy z nich był ciekawą osobowością, każdy mówił płynnie po niemiecku, jakby to było oczywiste w Polsce. Jeden z nich tłumaczył na polski teologiczne teksty Franza Overbecka, drugi pisał doktorat o Czesławie Miłoszu, trzecia wydawała czasopismo feministyczne, a czwarty był magistrem filozofii specjalizującym się w filozofii języka.

Każdy z moich nauczycieli wydawał mi się bardziej oryginalny niż moi berlińscy profesorowie razem wzięci. Kto by pomyślał, że akurat tu, w Krakowie, spotkam tak ciekawe towarzystwo. Przez dwa tygodnie, po cztery godziny dziennie, czwórka nauczycieli pozmieniała negatywne uprzedzenia, jakie miałem wobec Polski. Czego to ja nie wiedziałem o tym nadwiślańskim kraju, lepiej nie mówić. A teraz wszyscy okazali się tacy mili, dowcipni, czytani!

Tak się zachwyciłem Krakowem, Polską i Polakami, że niedaleko rynku Starego Miasta kupiłem sobie długi zielony płaszcz, aby w nim wyglądać jak polski szlachcic z XIX wieku.

Po kursie wróciłem szczęśliwy do Berlina, ale pod względem językowym nie wyniosłem prawie nic. Dwa tygodnie kursu wystarczyły zaledwie na zapamiętanie „dzień dobry”

oraz piekielnie trudnego słowa „przepraszam”. Na pytanie pewnej polskiej znajomej – jak było? – nie byłem w stanie po polsku odpowiadać, bo samo pytanie już przekroczyło moją wiedzę.

Kilka miesięcy później pojechałem jednak na następny kurs językowy w Krakowie, zorganizowany przez Uniwersytet Jagielloński – a wtedy dopiero zyskałem głębszy wgląd w tajemnice języka polskiego. Jak się okazało, oprócz tego, że każdy rzeczownik odmienia się przez siedem przypadków, to czasowniki podzieliły się na dokonane i niedokonane. Po polsku było więc dwa razy tyle czasowników niż w normalnych językach (na przykład „zakładać” i „założyć”).

Znowu byłem pod wielkim wrażeniem.

Kilka lat później, kiedy gościłem w Wuppertalu na festynie mojej starej szkoły, zaproponowałem naszemu dyrektorowi zastąpienie łaciny językiem polskim – przecież on jednoczy w sobie wszystkie zalety łaciny, a do tego nie jest językiem martwym, lecz szalenie żywym.

Dyrektor bronił się starymi chwytami:

– Łacina też jest żywym językiem, a mianowicie mówi się po łacinie w Watykanie!

– Nawet tam się teraz dzięki Janowi Pawłowi II więcej mówi po polsku, panie dyrektorze!

Dyrektor machnął przerażony ręką. Wiedziałem, że teraz będzie coś na temat Owidiusza, jego ulubionego poety rzymskiego.

– Wszystko pięknie, tylko czy w polskiej literaturze jest drugi Owidiusz?

Adam Mickiewicz albo Witold Gombrowicz nie byli dla niego pełnowartościowymi odpowiednikami, bo ich w ogóle nie znał. W ten sposób do dziś w mojej byłej szkole uczy się łaciny zamiast polskiego. Przynajmniej zawiązali jednak

partnerstwo z liceum imienia Wyspiańskiego w Legnicy, partnerskim mieście Wuppertalu.

*

Po skończeniu studiów zdaniem rodziny i kolegów przyszedł czas na doktorat z filozofii. Będąc jednak wiernym przysiędze złożonej w Bibliotece Państwowej, nie chciałem go pisać, i opracowałem plan ucieczki z Berlina. Po pozytywnych doświadczeniach w Polsce wydawało się oczywiste, że wyjadę za Odrę. Od Krakowa wolałem Warszawę, która geograficznie znajdowała się w odległości zaledwie sześciu godzin od Berlina. Jeśli w niej by mi się powiodło, zawsze mogłem wsiąść w południe do pociągu i wieczorem znaleźć się z powrotem w Berlinie. Polska była egzotyczna, ale na szczęście tak bliska, że na razie nie było mowy o żadnej „emigracji”, raczej o wakacyjnej przygodzie.

Niebawem wynająłem mieszkanie w centrum Warszawy i zapisałem się na kurs języka polskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Znalazłem też pracę jako nauczyciel niemieckiego, i to w najstarszym warszawskim liceum imienia Królowej Jadwigi. Uczniowie zwracali się do mnie z szacunkiem, per panie profesorze, choć byłem zaledwie o sześć lat od nich starszy.

Nagle poznałem fantastyczny nowy zawód, o którym w Niemczech nigdy nie słyszałem, a mianowicie native speaker. Szybko przekonałem się, że oprócz zawodu kontrabasisty to najlepszy zawód pod słońcem. Jaką umiejętność posiada każdy mieszkaniec Ziemi w stopniu perfekcyjnym, i to bez wykształcenia i dyplomu? Z wyjątkiem chodzenia i jedzenia właściwie zna tylko swój język ojczysty. I nagle dokładnie to wystarczyło do zapewnienia sobie finansowej egzystencji.

A ja, szczęściarz, lądowałem akurat w tym kraju, w którym mój język cieszył się największym zainteresowaniem w całej Europie.

Czasami jednak nie było tak łatwo być Niemcem w Warszawie. Mieszkałem na Muranowie. Dowiedziałem się, że podczas niemieckiej okupacji było tu żydowskie getto. Kamienica, w której zamieszkałem, powstała z ruin w latach pięćdziesiątych, po tym jak niemieckie wojsko po deportacji i wymordowaniu żydowskich mieszkańców spaliło wszystko aż po fundamenty. Dzisiaj stały tu czteropiętrowe budynki w socrealistycznym stylu, z odrapanymi klatkami schodowymi, na których farba odłaziła od ścian wielkimi płatami, a rury niebezpiecznie się powykrzywiały. Sąsiad z pierwszego piętra podejrzewał nawet, że Saddam Husajn ukrył na naszej zakazanej klatce niebezpieczne szczepy bakterii i to dlatego Amerykanie bez skutku szukali tej broni biologicznej w Iraku. Patrząc na czarne plamy pod sufitem, nawet bym w to uwierzył.

Między blokami rozciągały się spore skwery, można było dostrzec na nich zarysy podziemnych bunkrów żydowskich partyzantów. Główny bunkier, w którym Szymon Anielewicz i inni przywódcy powstania w 1943 roku odebrali sobie życie, znajdował się o kilka przecznic dalej, na słynnej Miłej 18. Najpierw nie mogłem zrozumieć, jak mieszkańcy dzielnicy mogli na tych trawnikach rozkładać leżaki i opalać się, ale po kilku miesiącach sam do nich dołączyłem. Często przechodziłem obok pomnika Bohaterów Getta, przed którym w roku 1970 ukląkł Willy Brandt – w końcu na niego też już nie zwracałem uwagi. Kiedy skwer za moim blokowiskiem został nazwany nazwiskiem pewnego generała Armii Krajowej, jego potomkowie fundowali ławki i stoły do ping-ponga. Od tego momentu grałem tutaj aż do zmierzchu w tenisa stołowego, bez żadnych wyrzutów sumienia.

Moje mieszkanie znajdowało się na najwyższym, czwartym piętrze. Duży pokój – który w Polsce elegancko nazywa się salon – urządzono w stylu lat siedemdziesiątych: w rogu ciemnobrązowa szafa, ściany wytapetowane w kwiatki i pomarańczowe fotele. Na stole stał jasnozielony telefon z żółtą tarczą. W oknach wisiały obfite różowe zasłony.

Dziwnym trafem postsocjalistyczna atmosfera wcale mnie nie odrzucała. W identycznie umeblowanym bloku w Berlinie Wschodnim prawdopodobnie nie wytrzymałbym dwóch tygodni, ale tutaj znalazłem się w egzotycznym kraju, którego pisarzy nie znał żaden wuppertalski dyrektor szkoły. Geograficznie biorąc, Warszawa leży blisko Niemiec, lecz w głowach jest bardziej oddalona od Berlina niż Bangkok, Seattle i Sydney razem wzięte. Podobało mi się to. Wylądowałem na peryferiach, tam gdzie jako fan klasyki zawsze czułem się najlepiej.

*

Powoli uświadomiłem sobie, że moje wynajęte mieszkanie należało wcześniej do agencji towarzyskiej. W nocach nękały mnie telefony od niezbyt uprzejmych panów, a pewnego wieczoru do drzwi zadzwonił niepozorny chłopczyk.

– A gdzie są dziewczyny?

Ciekawie wyciągał szyję, próbując zajrzeć głębiej do mieszkania. Kiedy dziwnie na niego patrzyłem, pomyślał najpierw, że udaję Greka, po czym spojrział na mnie litościwie (czyżby słyszał od progę, że leci u mnie muzyka Brucknera?) i znikł. Nie powtórzyło się to więcej, podobnie jak wkrótce przestały budzić mnie nocne telefony od krzyczących po rosyjsku panów.

Atmosfera w kamienicy była bardzo anonimowa. Sąsiedzi z klatki przez długi czas nie mówili mi „dzień dobry”. Początkowo myślałem, że to z powodu agencji towarzyskiej – czyżby brano mnie za alfonsa? – później winiłem moje niemieckie pochodzenie. Widocznie potwierdziły się moje podejrzenia, że Polacy nie lubią Niemców. Z czasem jednak doszedłem do wniosku, że jest dokładnie na odwrót. Sąsiedzi ignorowali mnie, bo uważali mnie za Polaka. Ignorowali się również nawzajem, a może się nawet nienawidzili. W ten sposób wpadłem na trop polskiej choroby narodowej – paranoidalnego braku zaufania do własnych rodaków. Wszystko zmieniło się dopiero wtedy, kiedy po kilku tygodniach dowiedzieli się, że jestem Niemcem. Teraz wzbudzałem raczej rozbawienie, a nawet współczucie. Po co przyjechałem do Polski? Może miałem polskich przodków? Czyżby w Wuppertalu poszukiwano mnie listem gończym? A może chciałem stworzyć siatkę szpiegowską niemieckiego wywiadu dla następnej inwazji? Byłem zaskoczony, że Polacy akceptowali mnie widocznie bardziej niż własnych rodaków. W Niemczech było przecież odwrotnie – niemiecki właściciel wynajmował mieszkanie raczej Niemcowi niż obcokrajowcowi. Ja natomiast czułem się mile widziany, a nawet uprzywilejowany. W wielu sytuacjach życia codziennego przekonałem się o tym, co to znaczy „taryfa ulgowa”. Druga strona medalu to fakt, że wszystko, co robiłem, natychmiast generalizowano i odnoszono do wszystkich Niemców. Jeśli w szkole opowiedziałem dowcip, uczniowie i nauczyciele mówili: „Zobacz, Niemcy mają jednak poczucie humoru”. Kiedy stawiałem złe oceny, narzekali na powszechnie znaną niemiecką surowość. A moje beżowe sztruksy uznali za najnowszy trend prosto z Berlina.

Najlepszym efektem przeprowadzki do obcego kraju było jednak to, że mogłem wyskoczyć z szuflady, w której spędziłem dotychczasowe życie. Pochodzenie, wykształcenie, sposób mówienia, styl ubierania się – wszystko straciło znaczenie, bo cała kultura była inna, począwszy od tego, że ludzie w Polsce nie kojarzyli sztruksów z grzecznymi synkami protestanckich pastorów. W ogóle nie byłem już „synkiem pastora”, bo w języku polskim nawet nie ma odpowiednika tego określenia – trudno się dziwić. Kiedy przedstawiałem się w szkołach językowych i podawałem jako zawód ojca, upraszając sprawę, „ksiądz”, niektórzy kwestionowali moją znajomość języka polskiego. Co proszę? Czy aby dobrze słyszę? Syn katolickiego duchownego? Ha, ha, hi, hi, ho, ho.

Skakałem z radości. Wylądowałem na bezludnej wyspie, jak bezimienny rozbitek, który ma tylko siebie. W tej euforii nawet nie tęskniłem za moimi ukochanymi płytami, które zostawiłem w Berlinie. Do Polski zabrałem ze sobą zaledwie dwadzieścia CD. Na miejsce muzyki wskoczył język polski, który pilnie wkuwałem. Zamiast wiecznego pogwizdywania po głowie plątały mi się – pod prysznicem, we śnie czy w tramwaju – świeżo zasłyszane skrawki polskiej mowy, przedziwne słowa, takie jak „bąbelki”, „ufołudki”, „rozczarowany” czy „oszczędzisz” z czterema „z”.

Po roku pracy w liceum przenieśliem się na Uniwersytet Warszawski; zostałem zatrudniony jako lektor. Dwa razy w tygodniu miałem zajęcia, w dodatku uczyłem niemieckiego w Instytucie Austriackim. Od czasu do czasu nagrywałem kasety z wymową niemiecką dla wydawnictw podręczników szkolnych – były to dość dobrze płatne zlecenia. W sumie mogę powiedzieć, że przez kilka następnych lat nie pracowałem się, mając tyle kasy, że stać mnie było na

wynajem mieszkania i jedzenie w ulubionej Pizzy Hut. To kolejny banalny przykład mojej życiowej zmiany – do Pizzy Hut wcześniej w Niemczech z zasady nie chodziłem; do amerykańskiej restauracji – nigdy!